

7 str.
ebl

Piotrowski Florian

Relację nagrała i maszynopis zredagowała Janina Wołczuk

Temat: Ziemia Lidzka...

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Piotrowski Florian, urodzony 3 stycznia 1931 roku w Kajetanowie powiat Lida. Dziadek Wincenty, ojciec - Gustaw, matka - Eugenia z domu Uszykło. Po wojnie służył w wojsku radzieckim w Leningradzie. Nie miał zamiaru wracać w strony rodzinne, chciał pozostać w Leningradzie. Ale rodzice skłonili go do powrotu. Zapisał się do szkoły mechanizacji rolnictwa w Hajcieniszkach k/ /Bieniakoń.

... W tej szkole trochę płacili pieniędzmi, była stołówka i kwatery. Poprzednio chodziłem do szkoły przed wojną, w 1939 roku poszedłem do 4 klasy - to było w Ejszyszkach, bo tam wtedy mieszkaliśmy. Zimą 1939/1940 roku siedzieliśmy z rodzicami na worku sucharów, byliśmy przygotowani na to, że nas wywiezą. Dopiero w 1941 roku poszedłem do szkoły rosyjskiej.

Przed rewolucją, za cara, ojciec mój studiował w Petersburgu. Dziadek miał własny dom w Carskim Siole /teraz miasto: Puszkino/. Moi dziadkowie zginęli podczas rewolucji w Leningradzie, a ojciec z bratem i siostrą wrócili do rodziny. Ojciec nie miał pojęcia o gospodarce, ale miał ze 30 ha po parcelacji majątku w Kajetanowie. Do spółki z wujkiem ojciec miał w Ejszyszkach piwiarnię i sklep spożywczy. Ojciec miał wykształcenie rosyjskie. Kiedy Rosjanie przyszli w 1939 roku, to ojciec bał się bolszewików. Ale przez to rosyjskie wykształcenie ojciec zaczął pracować w sielsowiecie. Przedtem w 1939 roku ojciec został zmobilizowany do polskiego wojska. Wówczas my wróciliśmy do Kajetanowa, w którym był nasz dzierżawca. Było nas pięcioro rodzeństwa i wróciliśmy bez niczego. Potem ojciec też wrócił na wieś, bo Rosjanie w Ejszyszkach wszystko rozbili - magazyny, zapasy. Ojciec wrócił w mundurze polskim, ale ten mundur szybko zdjął. W wojsku ojciec był telefonistą, chyba chorążym. Wojna zastała go w Suwałkach, a wrócił ostatecznie pieszo z Lidy. Zima 1939/40 roku była bardzo ostra, a myśmy nic nie mieli. Dobrze przynajmniej, że stryjek miał gospodarstwo.

Poszedłem do szkoły w 1940/41 roku, w Żemojczyszkach. Przed wojną uczyła tam Anna /?/ czy Maria /?/ Kołyszczkowa. Byłem do niej przywiązany, bo ona się przyjaźniła z moimi rodzicami. Jej mąż był urzędnikiem w Werenowie. Prawdopodobnie po wojnie pani Kołyszczkowa była w Warszawie. A w r. 1940/41 uczyły dwie Rosjanki.

Mimo iż mój ojciec miał rosyjskie wykształcenie, o języku rosyjskim niewiele słyszałem przedtem. Matka moja pochodziła z Jurszyszek /koło Ejszyszek/. Ojciec najczęściej był na posiadzie,

Piotrowski Florian c.d.

gospodarz z niego był słaby. Ale podczas okupacji niemieckiej gospodarzyliśmy na roli.

W naszych okolicach po przyjsciu Niemców zostało dużo Rosjan. Wojna niemiecko-rosyjska ich zaskoczyła, gdyż pracowali oni przy budowie lotniska w Korodenku. Sporo Rosjan przyjechało też na nasze tereny w latach 1939-1941 z głębi Rosji.

Kiedy w 1939 roku wkraczali do nas Rosjanie, to Żydzi w Ejszyszkach wywiesili na ciężarówkach transparent: "Zdrawstwujić, towariszczu, my 20 let was żdali". Bili brawa, witali Rosjan kwiatami. A my, chłopcy, tych Żydów goniliśmy, jednego nawet ściągaliśmy z tej ciężarówki. Był wśród nas też syn polskiego policjanta. Później wojsko rosyjskie zaczęło rozbijać magazyny, grabić. Kiedyś szedłem z matką z Ejszyszek i miałem na głowie szkolną czapkę z orzełkiem. Po drodze spotkaliśmy Rosjan. Jeden z nich podszedł do mnie, powiedział na orzełka, że to "kurica", zerwał orzełka z czapki i podeptał. Ale zaraz podszedł do tego żołnierza chyba oficer, kazał podnieść orzełka, wytrzeć z kurzu i mi oddać. Schowałem tego orzełka do kieszeni i poszedłem dalej.

W szkole były znane gdzie indziej numery propagandowe: nauczycielka wołała: Boh, Boh, daj piroh, a sielsowiet, daj konfiet! - i robiła tę sztuczkę z cukierkami. Było też w szkole kiedyś zdarzenie innej natury: ktoś na portrecie Stalina zamalował oczy atramentem. Nauczycielka zbladła ze strachu, bała się, że ktoś już to zdążył zobaczyć. Na zakończenie roku szkolnego zorganizowano wielką imprezę.

Kiedy Rosjanie szli w 1944 roku, to my chowaliśmy się do prowizorycznych schronów. A oni niczego nie oszczędzali - nie wymijali czołgami drzew owocowych, rozgniatali ule. A kiedy w 1941 roku wchodzili Niemcy, to nawet na kwietnik nie wjechali. Niemcy się myli, golili, a Rosjanie byli strasznie brudni. I to był duży kontrast. Rosjanie jak przyszli do nas wieczorem, to zaraz pierwszego dnia złapali 6 owiec.

Niemcy podczas okupacji spalili chyba L₁pków. Wywieźli na roboty naszą służącą. Ona po wojnie wyjechała do Stanów Zjednoczonych.

Po wojnie ojciec mój był zaangażowany do prac administracyjnych przy wyborach. Punkt wyborczy był w szkole w Żemojcziskach. Wszyscy ludzie musieli głosować, po wsiach jeździły furmanki, dowożące do punktu wyborczego.

Kiedy zaczęła się kolektywizacja, to nie wszyscy ludzie zaraz wstąpili do kołchozu. Najwcześniej zaorano ziemię w mająt-

Piotrowski Florian c.d.

ku Kajetanowo, bo tam już nie było właścicieli. U nas do kołchozu nie zapisali się 3 gospodarze, m.in. Kuźmicki Edward i Longin /mieszkali potem na Mazurach/. Niektórzy gospodarze dawali do nich na przechowanie swój inwentarz. Wiosną ludzie jeszcze zasiali sami, ale w żniwa 1/3 zasiewów albo połowę trzeba było oddać do kołchozu. Po żniwach już trzeba było odprowadzić konie, wozy, pług, brony, cały sprzęt. Po domach chodzili agenci, którzy tego pilnowali. Trzeba było oddać kieraty, młockarnie. Gospodarstwa opuszczone - ludzi uwięzionych lub deportowanych - od razu wchodziły do kołchozu. Mój ojciec oddał do kołchozu konia, bronę, pług, wóz, zboże. Sobie mógł zostawić krowę. Działka wynosiła 30 arów, w tym mógł być sad.

Dobyttek ludzi deportowanych był konfiskowany, ale właściwie to był rozkradany przez urzędników z sielsowietu, przez parobków. Część dobytku dewastowano.

Z mojej rodziny Rosjanie aresztowali stryjecznego dziadka - Lucjana Piotrowskiego, a dziewczynom udało się repatriować do Gdańska. Dziadek wrócił jakoś po śmierci Stalina.

Ja w kołchozie nie byłem, bo kiedy zaczęła się kolektywizacja, to ja poszedłem do wojska. Początkowo Polaków nie brano do wojska. Pierwszy rocznik wzięto w 1951 roku. Właśnie wtedy wzięli wiosną mojego szwagra. A mnie ojciec załatwił jakoś odroczenie. Ale zrozumiałem, że z wojska się nie wywinę. Poszedłem do wojska w październiku 1951 roku i służyłem do grudnia 1954.

W wojsku określałem swoją narodowość zawsze jako Polak. Ale potem wśród żołnierzy mówiłem, że jestem Rosjaninem /kiedy już mówiłem po rosyjsku/, bo Polakom było gorzej, mówiono na nich "pszek", przezywano. Nie chciałem się więc wyróżniać.

Nasza rodzina repatriowała się w 1958 roku.

W szkole mechanizacji rolnictwa, do której się zapisałem po wojsku, były 2 grupy. W szkole uczyła się młodzież z okolicznych miejscowości, przeważnie w wieku przedpoborowym. Były 2 kursy - półroczny dla osób po wojsku, i roczny - dla przedpoborowych. Kurs półroczny był obliczony tak, żebyśmy do żniw skończyli naukę - a z wojska wróciliśmy w grudniu. Na żniwa powinniśmy byli już pojechać do Kazachstanu. Ja miałem zostać kombajnista. Wśród kursantów było też parę dziewcząt.

Przed rozpoczęciem kursów podpisywało się zobowiązanie, że po jego ukończeniu podejmie się pracę tam, dokąd skierują. Dlatego wyjazd do Kazachstanu był przymusowy, chociaż przedtem nikt nie przypuszczał, że to będzie Kazachstan. Nie wszyscy jednak po-

Piotrowski Florian c.d.

jechali, część osób pozostała pracować na miejscu w MTS.

Piotropow - ?
Towisk

Po zakończeniu kursu, przed wypisywaniem świadectw zabrano od nas paszporty czy inne dokumenty tożsamości. Te paszporty i nasze dyplomy zostały zapakowane do walizeczki, a nam powiedziano, że dostaniemy je wtedy, jak przyjedziemy na miejsce. Naszym szefem był nauczyciel od fizyki z tej szkoły, ale to był porządny człowiek, lubił wypić. Jechaliśmy z Bieniakoń na miejsce przeznaczenia chyba 6-7 dni trasą: Bieniakonie - Wilno - Czela-
binsk - Pietrozawodsk. To była ostatnia stacja. My, starsi, wiedzieliśmy, że dokumentów z powrotem nie dostaniemy, a bez dokumentów nigdzie się nie ruszymy. Spiliśmy więc naszego przewodnika, wynieśliśmy walizeczkę do toalety, otworzyliśmy. Tam była przygotowana lista, którą mieliśmy podpisać po zakończeniu pracy w Kazachstanie - wtedy mieliśmy odebrać i pokwitować dokumenty. A przewodnik miał nas tylko zawieźć do kombinatu rolnego, zdać przełożonemu i wrócić. Wtedy my wyłożyliśmy tę listę, każdy z jadących zabrał swoje dokumenty i podpisał listę. Walizeczkę zamknęliśmy ponownie.

Przyjechaliśmy do tego kombinatu w Pietrozawodsku, przesiedzieliśmy tam całą noc. Rano przyjechały ciężarówki i powiozły nas w pusty step chyba ze 300 km. Przyjechaliśmy do celu, do jakiegoś sowchozu, gdzie były jakieś prowizoryczne baraki. Równina była taka, że widać było na odległość 10-20 kilometrów. Kiedy wydało się, że w walizeczce nie ma naszych dokumentów, przyjechały ze 4 samochody milicji. Okrążyli nas. Niektórzy z nas pochowali dokumenty, żeby nie odebrano ich przemocą. Milicja postawiła warunek: oddać dokumenty i zacząć pracę. Myśmy powiedzieli, żeby podpisać delegację naszemu przewodnikowi, żeby on mógł spokojnie wracać do domu - i wtedy przystąpimy do pracy. Zaczęliśmy pertraktować. Milicja odjechała. Nasz przewodnik pojechał do domu, a my 5-6-osobowymi grupami rozjechaliśmy się do pracy. Ze mną w grupie byli m.in. Czesław Stecki z Koleśnik, Franek Bołuc z Wikańców, Franek Sienkiewicz, Marian Misiurski - to byli chłopcy po wojsku. A tych młodzików nie pamiętam.

Zgłosiliśmy się po maszyny, ale dokumentów nie oddawaliśmy. Chodziliśmy i rozglądaliśmy się. Widzieliśmy już co nieco w życiu bo byliśmy w wojsku. Ale ci młodzi byli przestraszeni, bo tam przyjeżdżał straszny element z Rosji i panowało straszne bandycstwo. Nas sześciu zdecydowało się na ucieczkę. Wszyscy byliśmy spod Werenowa, spod Ejszyszek. Powrót nie był taki łatwy - nie można było kupić swobodnie biletów, trzeba było mieć delegację.

Piotrowski Fłorian c.d.

Obezwładniliśmy milicjanta i zdobyliśmy w ten sposób samochód. Samochodem dojechaliśmy prawie do Pietrozawodska, ale wysiedliśmy nie dojeżdżając może 3 kilometrów do miasta. Tam jeden z nas zdobył klucz do wagonu i nielegalnie dostaliśmy się do pociągu. Wykryto nas dopiero w Czelabińsku. Ale tam już kupiliśmy bilety, a każdy z nas miał przecież chyba ze 2 000 rubli, bo otrzymaliśmy zaliczkę za pracę. Przyjechaliśmy więc do Moskwy. W Moskwie omal nie wpadliśmy, bo poszliśmy zwiedzać metro, a tam milicja sprawdzała dokumenty. Dwóch naszych w ten sposób zatrzymano, ale oni potem wrócili.

Wróciliśmy do domu. Tutaj nas jeszcze nie poszukiwano, ale od razu oddano nas wszystkich pod sąd - za to, że nie spełniliśmy warunków spłaty za naukę. Załatwiano nas każdego oddzielnie. Mnie przysądzono chyba z 10 000 rubli do spłaty - mieli potrącać po 10% z pensji. Pracowałem w MTSie w Werenowie - latem jako kombajnista, a zimą w brygadzie remontowej.

Miałem później problemy z wyjazdem do Polski, bo dokumenty na wyjazd odbierało się na milicji, a tam trzeba było pokazać zaświadczenie, że się rozliczyło w zakładzie pracy. Dyrektorem MTS była kobieta. Nie było zbytnio mi z czego potrącać tych 10%. Dostałem dokumenty na wyjazd wtedy, kiedy szef biura paszportowego wyjechał do Grodna. Przyniosłem zaświadczenie z sielsowietu, że nie pracuję, i dostałem dokumenty. Przybiegłem do domu, chwyciliśmy jedną walizkę i do pociągu.

Pozostałych moich kolegów z Kazachstanu spotkały różne losy. Najgorzej mieli ci młodzi, którzy zostali tam: trochę zarobili, ale mieszkali w strasznych warunkach, żywili się suszoną rybą, a wody nie było.